

Obcy
Albert
Camus

Przełożył Marek Bieńczyk
Państwowy Instytut Wydawniczy

Część pierwsza

I

Dzisiaj umarła mama. A może wczoraj, nie wiem. Z przytułku przyszedł telegram: „Matka zmarła. Pogrzeb jutro. Wyrazy szacunku”. To niczego nie wyjaśnia. Może to stało się wczoraj.

Przytułek dla starców znajduje się w Marengo, osiemdziesiąt kilometrów od Algieru. Złapię autobus o drugiej i przyjadę po południu. Nocą będę mógł czuwać przy zwłokach i wrócę jutro wieczorem. Poprosiłem szefa o dwa dni urlopu; w takiej sytuacji nie mógł mi odmówić. Ale nie wyglądał na zadowolonego. Powiedziałem mu nawet: „To nie z mojej winy”. Nie odpowiedział. Pomyślałem wówczas, że nie powinienem mu tego mówić. Nie było przecież z czego się tłumaczyć. Raczej to on powinien złożyć mi kondolencje. Z pewnością uczyni to pojutrze, kiedy ujrzy mnie w żałobie. Na razie jest trochę tak, jakby mama nie umarła.

Ale po pogrzebie będzie po wszystkim i znowu będziemy na oficjalnej stopie.

Pojechałem autobusem o drugiej. Zrobiło się gorąco. Obiad zjadłem jak zawsze w restauracji u Céleste'a. Wszystkim było niezmiernie przykro z mojego powodu i Céleste powiedział: „Matkę ma się tylko jedną”. Kiedy wychodziłem, odprowadzano mnie do drzwi. Byłem trochę nieprzytomny, bo trzeba było jeszcze wpaść do Emmanuela po czarny krawat i opaskę. Parę miesięcy temu stracił wuja.

Musiałem podbiec, żeby zdążyć na autobus. Cały ten pośpiech, bieg, a do tego wyboje na drodze, zapach benzyny, odbłask szosy i nieba, wszystko to sprawiło, że się zdrzemnąłem. Spałem przez niemal całą drogę. Obudziłem się wsparty o jakiegoś żołnierza; uśmiechnął się i spytał, czy jadę z daleka. Powiedziałem „tak”, aby nie ciągnąć rozmowy.

Przytułek leży dwa kilometry za miastem. Dotarłem tam pieszo. Chciałem od razu zobaczyć mamę. Ale dozorca powiedział, że powinienem spotkać się z dyrektorem. Był zajęty, więc chwilę

czekałem. Dozorca wciąż coś do mnie mówił, aż wreszcie ujrzałem dyrektora: przyjął mnie w gabinecie. Niepozorny staruszek z Legią Honorową. Spojrzał na mnie swoimi jasnymi oczyma. Po czym uściśnął mi dłoń; trzymał ją tak długo, że nie bardzo wiedziałem, jak ją wycofać. Następnie przejrzał dokumenty i powiedział: „Pani Meursault została przyjęta trzy lata temu. Pan był jej jedyną podporą”. Pomyślałem, że coś mi zarzuca, i zacząłem się tłumaczyć. Ale mi przerwał: „Nie trzeba się usprawiedliwiać, synu. Czytałem akta pańskiej matki. Nie mógł pan sprostać jej potrzebom. Wymagała stałej opieki. Pańskie pobory są skromne. Zważywszy na to wszystko, tutaj było jej lepiej”. Powiedziałem: „Tak, panie dyrektore”. A on dodał: „Wie pan, tu miała przyjaciół, ludzi w jej wieku. Mogła dzielić się z nimi sprawami, które należą do minionych czasów. Pan jest młody i przy panu z pewnością się nudziła”.

To prawda. W domu matka spędzała czas, niemo wodząc za mną wzrokiem. W pierwszych dniach pobytu w przytułku często płakała. Ale to z powodu przyzwyczajenia. Po paru miesiącach

płakałaby, gdyby ją z przytułku zabrać. Również z przyzwyczajenia. Głównie dlatego w ostatnim roku niemal tu nie przyjeżdżałem. No i dlatego, że zabierało mi to niedzielę – nie mówiąc o całym trudzie dojścia do autobusu, zakupie biletów i dwóch godzinach jazdy.

Dyrektor jeszcze coś do mnie mówił. Ale już go prawie nie słuchałem. Wreszcie rzekł: „Przypuszczam, że chciałby pan zobaczyć matkę”. Wstałem bez słowa, a on pierwszy ruszył do drzwi. Na schodach wyjaśnił: „Przenieśliśmy ją do naszej małej kostnicy. Aby nie trapić innych. Kiedy tylko jakiś pensjonariusz umiera, pozostali na parę dni robią się nerwowi. To utrudnia pracę”. Przeszliśmy przez dziedziniec pełen starców; gawędzili w małych grupkach. Milkli, kiedy przechodziliśmy obok. Potem wracali do rozmowy. Jakbym słyszał krzykliwą paplaninę papug. Dyrektor doprowadził mnie do drzwi małego budynku: „Tu pana zostawiam, panie Meursault. Jestem w biurze do pańskich usług. Zasadniczo pogrzeb przewidziano na dziesiątą rano. Uznaliśmy, że w ten sposób będzie pan

mógł czuwać przez noc przy zmarłej. I jeszcze słówko: pańska matka, zdaje się, często wyrażała przed kolegami pragnienie pogrzebu kościelnego. Podjąłem się niezbędnych przygotowań. Ale chciałem pana o tym powiadomić”. Podziękowałem mu. Mama, choć nie była ateistką, za życia nigdy nie myślała o religii.

Wszedłem. Sala była bardzo jasna, pobielona wapnem i pokryta szklanym dachem. Za umeblowanie służyły krzesła i kozły w kształcie iksa. Dwa z nich, pośrodku, dźwigały trumnę z zamkniętym wiekiem. Widać było tylko lekko wkręcone błyszczące śruby; wystawały z zabejcowanych na orzechowo desek. Obok trumny stała pielęgniarka, Arabka w białym kitlu i z jaskrawą chustą na głowie.

W tym momencie za moimi plecami przystanął dozorca. Musiał biec. Nieco się jąkał: „Zamknęliśmy trumnę, ale odkręcę, żeby mógł pan spojrzeć”. Już do niej podchodził, kiedy go powstrzymałem. Spytał: „Nie życzy pan sobie?”. Odpowiedziałem: „Nie”. Zamilkł, a ja stałem zakłopotany, gdyż poczułem, że nie powinienem